

BÓG „PRZYGARNIA I UNOSI” PRZEMIJANIE W BLASKU WCIELENI

Z księdzem profesorem Jerzym SZYMIKIEM rozmawia Krzysztof HUDZIK

Krzysztof Hudzik: *Proszę Księdza, obiegowy wizerunek sędziwego kapłana chyba nie odbiega zbyt od jakiegoś powszechnego stereotypu człowieka starszego. Jak może wyglądać życie sędziwego księdza?*

Jerzy Szymik: Właśnie: „jak może wyglądać?”. Znałem i znam wiele niezwykłych postaci sędziwych kapłanów. Są znakami nadziei, że jeśli Pan Bóg pozwoli dożyć starości, to – choć zawsze będzie starością – nie musi być ona gorzka. By pozostać w kręgu naszego KUL-owskiego środowiska, chcę przywołać tu sylwetkę ks. prof. Adama L. Szafrńskiego, który jeszcze do niedawna (do 1993 roku) był ojcem duchownym księży studiujących na KUL-u. Ponad siedemdziesięcioletni, szczupły, o ostrych rysach twarzy i przenikliwym wzroku proroka. Niezwykle czynny, niczym wulkan energii, i pełen niesamowitych pomysłów, stanowił zaprzeczenie stereotypu sędziwego kapłana. Nieustanny kontestator, zawsze miał jakąś nową ideę w zanadrzu. Działał na wielu frontach i wciąż był z siebie niezadowolony. Nie tylko z siebie zresztą – także z KUL-owskich wychowanków i w ogóle z różnych przywar i słabości polskiego Kościoła; przy tym autentycznie kochał tych wychowanków, uniwersytet i Kościół.

Obserwowałem go z bliska, jak miotał się w zbyt dużej sutannie, mając w sobie coś z Don Kichota wojującego z wiatrakami ludzkiej głupoty i małości. Nie będę ukrywał, że obserwowałem go z zachwytem.

Jak żyć, by po siedemdziesiątce zachować w sobie taką świeżość, wolę życia i wręcz młodzieńczą werwę w przemienianiu świata? Jak nabywać lat nie podając się goryczy i chorobom, zachowując odporność na ciosy? Jak zachować ów rys niezniszczalności dobra i życia? Sam sobie nieustannie stawiam te pytania, bo sądzę, że na to „coś” pracuje się już wiele lat wcześniej.

K.H.: *Organizacja Narodów Zjednoczonych, ogłaszając bieżący rok Międzynarodowym Rokiem Ludzi Starszych, wyznaczyła jego hasło: „Ku społeczeństwu dla wszystkich grup wiekowych”. Czyżby trzeba było „propagować”*

oczywiste przecież fakty, że babcie i dziadkowie też są ludźmi i pełnoprawnymi członkami społeczeństwa? Co się stało, że w rozwiniętej kulturze i cywilizacji starość jakby wypada poza obręb społecznej świadomości?

J.Sz.: Parę wieków temu mnisi, którzy mijali się w klasztorach kruzgankach, pozdrawiali się słowami „memento mori” – „pamiętaj, że umrzesz”. Przypominam sobie, jak śmiali się z tego „postępowi” nauczyciele w czasach mojej szkoły średniej. Również dzisiaj taka forma pozdrawiania jest raczej trudna do wyobrażenia. Już nie wypada mnichom pozdrawiać się w ten sposób. Wypada jedynie pogodnie uczestniczyć w ogólnościowym udawaniu, że starość nie nadejdzie, a śmierci nie ma. Co się tutaj stało? Myślę, że rzecz sięga bardzo głęboko w strukturę naszego świata. Nie rosząc sobie pretensji do jedynie słusznej diagnozy, twierdzę, iż jest to jednak jakaś forma repoganizacji świata. Jest to prosty skutek odejścia od paradygmatu, który proponuje w widzeniu człowieka i rzeczywistości chrześcijaństwo, paradygmatu opartego konsekwentnie na tajemnicy Wcielenia, to znaczy na fakcie, że Bóg stał się człowiekiem. Wcielił się – by tak rzec – jednoznacznie, ostatecznie, do końca i z wszelkimi konsekwencjami, uświęcając człowieczą cielesność. I tylko ów „w-człowieczony” Bóg jest ratunkiem dla przemijającego człowieka. Nie udawanie, lecz wieczność Wcielonego jest ratunkiem dla człowieka, który „starzeje się w śmierć”.

K.H.: *Często – bez złej woli, a po prostu pochłonięci przez pęd życia – pozostajemy ślepi na podstawowy wymiar egzystencji – przemijanie „w kierunku” wieczności.*

J.Sz.: Tak, upływ czasu to na pewno fundamentalny problem „conditionis humanae”. Jeśli dziś mnisi nie mają odwagi przypominać światu, że przemija, jeśli nam, kapłanom, brak odwagi w przypominaniu człowiekowi, iż umrze, funkcję tę przejmuje kultura, robiąc to często w sposób pełen goryczy, rozpacz, z bolesnym krzykiem, nieraz niszcząco. Poezja na przykład przypomina dziś często człowiekowi, że jest śmiertelny i musi umrzeć. I w swoich arcydziełach poezja robi to nieraz genialnie.

Jeśli coś takiego dzieje się ze światem, że trzeba ogłaszać rok seniora, aby wartość człowieka starego nie była dziś podawana w wątpliwość, to jest to oznaka zapomnienia o nadziejnorodnych konsekwencjach Wcielenia. Wspomniana przeze mnie repoganizacja oznacza – paradoksalnie – odejście od zgody na to, że ciało należy integralnie do faktu i aktu bycia człowiekiem i że nasza cielesność jest czymś świętym, niezbywalnym, wielkim i odkupionym przez Boga.

K.H.: *Od wielu lat śledzi Ksiądz życie twórcze naszego sędziwego już Noblisty – Czesława Miłosza. W jednym z wywiadów poeta wyraził myśl, że właśnie dopiero z wiekiem pojawia się coraz częstsze dostrzeganie dobra. Stąd i jego widoczny optymizm być może wynika z podeszłego wieku. Jak ów optymizm sędziwego poety znajduje odbicie w jego twórczości?*

J.Sz.: Nie przystoi chyba oceniać czyjaś starość, ale Miłosz, moim zdaniem, starzeje się pięknie. Co przez to rozumiem? Otóż głównie to, iż Miłosz jest typem starego człowieka (nie ma co się bać tego słowa, poeta kończy w tym roku 88 lat), którego świat nieustannie interesuje. Myślę, że jest to wielki dar na stare lata. To, że człowiek sędziwy ma ogromne doświadczenie, że jest mądry, że rozumie głębiej niż ludzie młodzi wiele mechanizmów rządzących światem i życiem – wydaje się naturalne. Natomiast wolność od jakiegoś zgorzknienia i nieustanne zainteresowanie światem, ciągła troska o to, co będzie się działo ze światem jutro (kiedy mnie nie będzie, ale świat będzie), aktywny udział w sporach na temat przyszłości świata (co jest bardzo charakterystyczne dla Miłosza) – to jest, jak sądzę, niezwykle piękne. Niezależnie od tego, co myślimy o jego poglądach, o jego diagnozach, o pewnych tezach przez niego głoszonych (nie-raz prowokacyjnie heterodoksyjnych) czy o tak zwanej późnej jego twórczości (na przykład, czy jest ona wtórna wobec okresów poprzednich) – otóż, niezależnie od tego wszystkiego trzeba uznać ogromną klasę tego człowieka. Bierze aktywny udział w życiu naszego świata z ogromnym zainteresowaniem i bez pogardliwej ironii mędrca. Jest człowiekiem, który już się wycofuje z tego świata, ale z jednoczesnym zaangażowaniem w przyszły jego kształt.

Sądzę, że jednym ze źródeł jego optymizmu, o który Pan pyta, tej witalności intelektualnej i nie tylko intelektualnej, jest chyba sukces tego owocnego życia. To się podskórnie odczuwa w wielu jego wypowiedziach i w sposobie oceny rzeczywistości. Proszę zwrócić uwagę, że ten człowiek był nieustannie wygnany na Zachód. Jego życie było nieraz wyrywane z korzeniami: przeniósł się najpierw z Wilna do Warszawy, potem z Warszawy do Krakowa, z Krakowa do Paryża, a stamtąd do Kalifornii. I nagle po roku 1989 owo życie, jakby spięte jakąś złotą klamrą, zatoczyło łuk. Poeta pół roku spędza w Kalifornii, a pół roku w Polsce (w Krakowie, gdzie ma mieszkanie). A wydawało się, że ten powrót będzie niemożliwy... W ten sposób jego życie stało się jakby pewną przypowieścią o tym, że nawet nasze ziemskie życie nie musi kończyć się wygnaniem, że powrót do domu jest możliwy. Również tutaj. W tym sensie życie sędziwego Noblisty i Doktora honoris causa KUL jest udane – mimo wielu cierpień i porażek.

K.H.: *Określając swoją działalność poetycką, Miłosz wymienia na pierwszym miejscu troskę o wyobraźnię religijną. Nie może pogodzić się z procesem jej wyjaławiania. Może właśnie poetyckie sycenie szeroko pojętego religijnego wymiaru ludzkiej egzystencji jest najgłębszym źródłem optymizmu starego Miłosza?*

J.Sz.: Teza Miłosza jest w tej dziedzinie dość pesymistyczna. Brzmi tak: od co najmniej dwustu lat wyobraźnia europejska podlega nieustannie erozji i człowiek współczesny jest w świecie wyobraźni bezdomny, to znaczy jego wyobraźnia nie ma punktu oparcia. Kiedyś, powiada Miłosz, było wiadomo, że czasoprzestrzeń ma swoje kierunki: góra, dół, prawo, lewo – a dzisiaj człowiek nie

potrafi się zadomowić w świecie, który go otacza. Po Koperniku nie ma góry ani dołu. Nasza wyobraźnia jest wykorzeniona, wydiedziczona, odcięta od tego, co pozwala życiu spokojnie się rozwijać.

K.H.: *Czy poezja może tu pomóc? Przecież już niemiecki filozof Martin Heidegger powtarzał za poetą Friedrichem Hölderlinem tezę o nieużyteczności poezji w „marnym czasie”. Na tę marność składają się i dezorientacja aksjologiczna, i moralna pustka.*

J.Sz.: Poezja jest formą służenia życiu. Służenia istnieniu. Wtedy, gdy poeta nazywa słowem byt, życie, gdy się nim zachwyca, gdy nad nim płacze, a także gdy rozpacza, gdy próbuje zatrzymać ulotną chwilę, opisać jakiś fenomen życia, jakiś jego błysk – jest po stronie życia. Służy istnieniu i pomaga człowiekowi zakorzenić się. Poeta w ten sposób współpracuje z Bogiem, współpracuje ze Stwórcą, który zawsze jest po stronie życia. Szatan jest po stronie śmierci. Mówię to już jako teolog.

W tym znaczeniu poezja może być źródłem nadziei, a przynajmniej może być służbą nadziei i służbą życiu. Tak w dużym skrócie dałoby się streścić tę teorię.

K.H.: *Poezja – o której Ksiądz mówił – należy do wysokich rejonów kultury. W kulturze masowej natomiast obraz świata w dużej mierze kreują reklamy. Nie ma tam miejsca dla istotnych problemów starości.*

J.Sz.: Nie powiem prawdopodobnie niczego nowego. W tle większości reklam znajdują się ludzie, którzy zawsze są młodzi. Mają nieustanne wakacje ewentualnie pracują stukając w klawisze komputera i zajadając chipsy, tuż przed udaniem się na randkę. A w jeszcze głębszym tle uwidacznia się pogarda dla starości, szarości, cierpienia, choroby, niepamięć o śmierci. Zbiór półprawd o życiu, czyli wielkie kłamstwo. Na przekór temu przychodzi mi na myśl fragment jednej z książek Williama Whartona. Pisarz manierystyczny, ale fragment jest przedni: opis kobiety – przyjaciółki rodziców, a zatem kobiety już niemłodej. Na jej twarzy, na policzkach i koło oczu pełno było śmiechowych zmarszczek. Widok takich zmarszczek na twarzy kobiety, czytamy dalej w książce, sprawia, iż oglądane twarze młodych dziewczyn można by porównać do pustych map. Są jakby nie odkryte tereny, na których może dopiero coś się wydarzyć... Tyle Wharton. Piękno życia, prawda o nim, sięga jednak głębiej niż przedsiębiorczość i liposystem. Nie jest prawdziwe wyobrażenie, że reklamowy sukces pozostaje jedyną wartością zdolną nadać sens życiu. Życie zaś nie jest tylko konkurencyjną giełdą wyrzucającą ludzi starych poza swój margines. Ale to są prawdy oczywiste.

K.H.: *Często dojmującym atrybutem schyłku życia jest samotność. Także zwyczajne życie kapłana cechuje właśnie samotność. Na ile te samotności są do siebie podobne? A może nie mają ze sobą niczego wspólnego?*

J.Sz.: Jestem księdzem, ale chyba jeszcze nie jestem starym człowiekiem. Doświadczenie samotności kapłańskiej, stopień gęstości tego doświadczenia

jest w moim życiu zasadniczo różny od stopnia tego doświadczenia u człowieka starego. To drugie znam tylko z opisu i z obserwacji. Jako wikary mogłem tylko próbować empatycznie przeżywać samotność ludzi starych, do których byłem posyłany czy którym towarzyszyłem przy umieraniu. To było współodczuwanie czasem głębokie, ale tylko współodczuwanie. Starcza samotność nie krzyżuje jeszcze mojego życia.

Mam przed sobą książkę biskupa Waltera Kaspera, której tytuł w tłumaczeniu brzmi: „Nie jesteśmy panami waszej wiary, lecz sługami waszej radości”. Ów tytuł, będący parafrazą nowotestamentalnego wersetu (por. 2 Kor 1, 24), anonsuje kierunek rozważań nad istotą służby kapłańskiej. Biskup Kasper stawia tezę, wielostronnie rozwijaną, że kapłan żyje sam, ale nie jest nigdy samotny: „allein und doch nicht einsam”. Jest to bardzo ważna teza, dotycząca istoty kapłańskiego życia. Ten rodzaj egzystencjalnego osamotnienia, który wiąże się z jakąś niszczącą siłą samotności, jest – jeśli można tak to ująć – istotowo nie związany z byciem księdzem. Być samym nie znaczy żyć w osamotnieniu. Sięgamy tu głęboko w jakąś fundamentalną ontologię kapłaństwa. Kapłan nie jest wydany na pastwę samotności. U samych źródeł jego powołania **j e s t B ó g**, który go nieustannie obejmuje wszechmocnym ramieniem obecności.

K.H.: *Z góry przepraszam za to pytanie: Jak to, co Ksiądz przed chwilą powiedział, ma się do rzeczywistości?*

J.Sz.: Nie chcę oczywiście uciekać w idealizowanie. Są wieczory, kiedy jest się po ludzku samotnym, olbrzymie pasma życia przeżywa się po prostu same-mu, ale to nie jest ów najgłębszy poziom osamotnienia. I choć życie kapłańskie może się takim stać, to jednak niejako w założeniu nie jest ono zanurzone w samotności, która niszczy, która powoduje, że brak w tym życiu miłości, czyli czegoś, co naprawdę człowieka buduje. Ów rodzaj „nieniszczącej” samotności jest wręcz potrzebny każdemu księdzu po to, aby pewne rzeczy przemyśleć, aby nasycić się ciszą, aby pogłębić życie duchowe, aby wytworzyć przestrzeń niezbędną do spotkania twarzą w twarz z Bogiem. Owszem, wiem, w jakie dramaty jest czasem uwikłane samotne pasmo życia księdza, więc nie chciałbym budować kruchej i nieprawdziwej teorii. Jednakże trzeba wyraźnie odróżnić te dwa rodzaje samotności.

Podaję, ale z braku doświadczenia tylko podejrzewam, iż podobnie jest w życiu człowieka sędziwego. Być może pewien rodzaj samotności jest człowiekowi staremu po prostu potrzebny. Jest to biologicznie naturalne. Natomiast kwestia samotności – tej niszczącej, krzyżującej człowieka – to już jest inny temat, doświadczalnie mi nie znany.

K.H.: *Mądre książki podają, a i życie uczy, iż przechodzenie w wiek sędziwy można scharakteryzować jako odchodzenie od kurczących się możliwości zewnętrznej aktywności i intensywniejsze zwracanie się ku możliwościom wewnętrznym. Tyle że wewnętrzne bogactwo ludzkiego ducha nie pojawia się*

samo i nagle. Płynne przejście w sędziwe korzystanie z głębi życiowego doświadczenia wymaga chyba przygotowania, co zresztą już Ksiądz w trakcie naszej rozmowy sygnalizował. Jak głębokie musi to być przygotowanie? Starożytni mędracy głosili, że do swego schyłku człowiek przygotowuje się przez całe życie.

J.Sz.: Są to sprawy oczywiste i skomplikowane zarazem. Oczywiście, bo zawsze następny okres życia jest zniwowaniem tego, co wcześniej zostało zasiane. Życie nie rozwija się skokowo. Z jednej strony jest nieprzewidywalne, zaskakujące i misteryjne. Doświadczamy, iż nie jesteśmy jego właścicielami ani tym bardziej twórcami; ono tylko przez nas przepływa „z Boga w Boga”. Tak jest w innym niejako wymiarze. Z drugiej strony możemy jednak mówić o przewidywalności, bo poprzedni okres życia przygotowuje zawsze następny. Stąd banalna jest konstatacja, że kształt starości człowiek sobie przygotowuje przez całe swoje nastoletnie, młode, a potem dorosłe życie.

Chciałbym tu zwrócić uwagę na wyraźną dramaturgię przemijania człowieka, kurczenia się sił i możliwości. Przystoi śmiertelnym kontemplacja własnej przygodności, ale jest w nas jakaś fundamentalna (jak sądzę – religijna) niezgoda na własną śmiertelność. Refleksja nad własnym wygasaniem, gdy człowiek widzi narastające ograniczenia swojej witalności, musi być doświadczeniem bardzo dramatycznym. To wszystko nakłada się na owo zniwowanie. Jakie są tu proporcje, co dominuje, w jaki sposób towarzyszy temu pogodna zgoda na własny los, a ile jest buntu przeciwko wymykaniu się życia – to wszystko w dużej mierze owiewa tajemnica. Na pewno w pewnym zakresie człowiek gotuje sobie swój los, ale też często chyba okazujemy się mniejsi niż wydarzenia, które nas zaskakują, krzyże, które spadają nam na ramiona. Bałbym się zbyt mędrkować na ten temat. Sądzę, że przystoi nam też pokora wobec różnych sposobów starzenia się, o których człowiek niewiele wie, zanim ich nie przeżyje.

K.H.: *Ludzie bardzo różnie reagują doświadczając kurczenia się dotychczas możliwej aktywności. Są na przykład tacy, których ogarnia apatia i rezygnacja. Są też osoby uporczywie trzymające się znamion młodości. Przypomina się tu wielce zrównoważony, tekst znany pod tytułem „Dezyderata”: „Przyjmij spokojnie, co lata doradzają, z wdziękiem wyrzekając się praw młodości”. Zapewne bardzo ważne w owej zgodzie na koleje losu okazuje się religijne doświadczenie człowieka, jego osobista więź z Bogiem.*

J.Sz.: Jestem głęboko przekonany, że stopień religijności człowieka jest wprost proporcjonalny do stopnia nadziei, z jaką spogląda on w wieczność rozciągającą się za kresem jego starości, poza granicę śmierci. I ma ogromny wpływ na sposób, w jaki się starzeje.

Przez kilka lat pracowałem jako wikariusz w jednej z górnośląskich parafii. W tej wówczas przeszło trzydziestotysięcznej parafii codziennie miały miejsce przeciętnie dwa pogrzeby. W ciągu niespełna pięciu lat tamtej posługi prze-

wodniczyłem paru setkom liturgii pogrzebowych. Napatrzyłem się na sporo odejść i sposobów przeżywania śmierci przez najbliższych – rzecz jasna ze współczuciem, ale też z biegiem czasu z pewną nieuchronną rutyną. Zebrałem wtedy sporo doświadczeń. Nie mylę się więc chyba twierdząc, że pewien rodzaj godności, z jaką przyjmuje się śmierć człowieka bliskiego, pewien rodzaj nadziei objawiającej się w sposobie modlitwy, pewien rodzaj reakcji na śmierć kogoś bliskiego – jest wprost proporcjonalny do stopnia religijności. Okazywało się, że im bardziej świadoma była modlitwa podczas żałobnej Eucharystii, im większy był stopień pozytywnego obycia tych ludzi z wnętrzem kościoła, im więcej osób przystępowało do Komunii świętej, tym mniejsza była rozpacz na cmentarzu podczas zasypywania grobu ziemią. Ta „proporcjonalność” brzmi może bardzo socjologicznie, niemniej jednak cielesność człowieka wiąże się właśnie z zewnętrznymi wyrazami – poprzez różne gesty – bólu, nadziei, radości i w ogóle tego, co jest wewnątrz nas.

K.H.: *A więc co tak naprawdę wyraża się w tak popularnej w naszych czasach postawie uporczywego aż do śmieszności okazywania, że jest się jeszcze takim młodym? Zastanawiam się, z perspektywy własnego czterdziestolecia, czy jakaś forma uciekania przed starością może kogoś zupełnie ominąć?*

J.Sz.: Mam w tej chwili 46 lat. Jeden z moich kolegów jeszcze ze szkoły podstawowej zmienia właśnie trzecią żonę na czwartą. Być może w grę wchodzi ten właśnie problem, o którym rozmawiamy. Jakieś „teraz albo nigdy”: jeszcze da się trochę wycisnąć z cytryny życia, a za chwilę może już być za późno. Przychodzą na myśl owi łysiejący pięćdziesięciolatekowie, z uporem maniaka spinający resztki włosów w dyndający z tyłu kucyk. Na owe żalosne próby udawania wiecznych dwudziestolateków patrzę nie tylko z ironią, ale też z głębokim współczuciem, bo w różnych dziedzinach życia każdy z nas po trosze może tak się zachowywać. Różne tylko są rzeczony kucyki...

K.H.: *Niektórzy ludzie z ironią i w gruncie rzeczy z szyderstwem w głosie podkreślają, że w kościołach jest tyle osób starszych. A przecież i Ewangelie mówią o związku starości z przestrzenią świątyni.*

J.Sz.: Kościół zawsze był schronieniem dla starości. Bardzo wielu ludzi starych czuje się tu u siebie. To racja, że już Ewangelie zawierają sporo pochwał pobożnej starości kobiet żyjących na marginesie prężnego społeczeństwa ówczesnej Palestyny. Przypomnijmy Annę, wdowę, 84-letnią córkę Fanuela, która spotkała małego Jezusa; albo anonimową, ubogą wdowę, która do świątynnej skarboxy wrzuciła więcej niż inni, bo uczyniła to ze swego niedostatku, a nie z tego, co zbywało.

Polska poezja zapisała na ten temat wiele znakomitych strof. Chciałbym zwrócić uwagę na dwa wiersze. Jeden z nich: *Stare kobiety w Kościele* – napisał ks. Janusz S. Pasierb. Autorem drugiego: *Stare kobiety* – jest Czesław Miłosz. Obydwa utwory sławią pobożność sędziwych pań, więc i ja na razie o sędziwych

panach nie będę wspominał. Nie miejsce tu na obszerne cytaty, ale niektóre myśli poetów warto przynajmniej sparafrazować.

Stary człowiek czuje się w Kościele bezpieczny. Bóg nie stawia warunków dla swojej miłości, nie żąda ani urody, ani sukcesu. Dopóki starzy będą się pojawiali w kościelnych murach, dopóty Kościół pozostanie Kościołem. Jak pisał ks. Pasierb, „stare kobiety mają przede wszystkim choroby i wnuki / a ponadto mają na sercu kościół”. Bliskość pomiędzy staruszkami i Chrystusem osiąga swój zenit w Tajemnicy Eucharystii (to już Miłosz), w której Wszystkowiedny Bóg akceptuje bez zastrzeżeń i przemienia swoim Ciałem artretyczne ciała służebnic, w wierszu Pasierba zaskakująco określone jako „narzeczone Jezusa”. To Jezus, sam będący „wiecznie młodzieńcem”, widzi w nich zawsze piękne dziewczyny, „swoje narzeczone”. Z kolei Miłosz dodaje, że Jezus przemienia w dostojność „śmieszność i ból”, czyli stare życie z jego powikłaniami i doświadczeniem słabości. A ponieważ dla Boga nie ma nic niemożliwego, więc owe słabe, sędziwe kobiety „przygarnia i unosi”. Dokąd? – „Ku swojej Theotokos ludzkiej”. Tak spełniają się z Boskim naddatkiem pragnienia sędziwych kobiet. Ich niedoskonała, ziemską miłość, „tak tylko, bez barw i urody” dopełnia się dzięki Temu, który jedynie im pozostał. Tyle, w wielkim skrócie, poeci Pasierb i Miłosz. Dobrze, że i poezja czasem ratuje starość – siłą współczującego piękna.

K.H.: *Sędziwy prof. Władysław Tatarkiewicz, podsumowując we „Wspomnieniach” swoje długie życie, napisał, że chrześcijańska koncepcja jednej egzystencji wydaje mu się doskonalsza i bardziej uszczęśliwiająca od wschodniej palingenezy. Nie przypadkiem wierzący w reinkarnację pragną kresu. Proszę Księdza, czym jest śmierć?*

J.Sz.: Jeśli wolno byłoby porównać życie do czegoś znanego z geometrii Euklidesowej, to powiedziałbym, że nasze życie jest jak półprosta. Oczywiście każde takie porównanie kuleje, niemniej jego względna i prosta trafność polega na tym, iż nasze życie ma początek w Bogu, natomiast nie ma kresu. Śmierć nie jest trwałą cezurą. W tym i tylko w tym znaczeniu można powiedzieć, iż z daru Boga, będącego Twórcą życia i samym Życiem, nie jesteśmy śmiertelni. Nie przestajemy być, ale – raz jeszcze wypada powtórzyć – tylko w tym znaczeniu. Natomiast chrześcijańskie rozumienie doczesnego życia z całą powagą traktuje jego skończoność. Życie, kończące się śmiercią, jest życiem jednorazowym. Chrześcijańska antropologia ze swej istoty jest antyreinkarnacyjna.

W sensie egzystencjalnym bowiem człowiek nie jest bblem. Wyszedł z ręki Boga jako arcydzieło i jest kimś jednorazowym, niepowtarzalnym. Każdy bez wyjątku. Stąd płynie zarówno groza, jak i doskonałość ludzkiego życia, jego – powtórzę – jednorazowość. Nigdy swoich chwil nie przeżywamy „na próbę”, zawsze przeżywamy je po raz pierwszy i jedyny. W tym znaczeniu są one niepowtarzalne i stąd płynie ich ciężar gatunkowy.

Jednocześnie chrześcijańska koncepcja życia i śmierci ma swój wymiar ściśle teologiczny. Życie – w jego cudzie, fenomenie, w jego procesie, w jego akcie – zawdzięczamy Bogu i w tym aspekcie nic od nas nie zależy. Ono jakby przez nas przepływa. Nie jesteśmy jego „wytwórcami”, jest ono dla nas zawsze darem.

K.H.: *Na koniec chciałbym nawiązać do początkowych wątków naszej rozmowy, gdy nakreślił Ksiądz perspektywę patrzenia na przemijanie poprzez Tajemnicę Wcielenia. Wydaje mi się, że do przywrócenia w społecznej świadomości właściwego spojrzenia na starość i śmierć bardziej niż specjalny ONZ-owski rok przyczynia się charyzmat papieża Jana Pawła II – szczególnego nosiciela prawdy o Wcieleniu. Ojciec Święty nieustannie jest bardzo wyraźnie widoczny jako zastępca Jezusa na ziemi i największy autorytet moralny współczesnego świata – pomimo swego wieku i wcale o to nie zabiegając.*

J.Sz.: To, co budzi mój najgłębszy podziw i co jest – chciałbym to mocno podkreślić – cnotą Jana Pawła II, to starzenie się jakby ze wzrokiem wpatrzonym gdzieś w życie już nie z tego świata. Tej właśnie cnoty chciałbym się z całą pokorą uczyć i pragnąłbym swoje starzenie się, o ile będzie mi ono przez Boga dane, uczynić podobnym. Papież jest człowiekiem, który dogłębnie – w każdym calu swej aktywności, postawy, tego, co i jak mówi czy przeżywa – jest świadkiem życia czerpiącego swą siłę wprost z Boga, z samego Źródła życia. Jest człowiekiem, dla którego nie liczą się własne cierpienia czy upokorzenia, chociaż można przypuszczać, że na tym poziomie przenikliwości spojrzenia na świat wszystkie ciosy ze strony tegoż świata odbierane są przez niego ze wielokrotnioną siłą. Możemy się tylko domyślać, jak – przy jego wrażliwości – one go ranią. I na głęboko wewnętrznym, duchowym poziomie on to wszystko ogarnia, radzi sobie z tym, czerpiąc siłę z tego uporczywego wpatrywania się w całość prawdy o życiu. Myślę, że widzi on wszystko z innej perspektywy i to mu daje nieprawdopodobną siłę.

Oczywiście na temat Ojca Świętego pojawiają się opinie ekstremalne. Jedne mnie gorszą, inne śmieszają. Jedni szyderczo podkreślają widoczne gołym okiem zewnętrzne przejawy jego starości, inni chcieliby ich w ogóle nie dostrzegać. Papież przecież dochodzi do osiemdziesiątki, jest sędziwym człowiekiem, którego zdrowie jest prawie doszczętnie wyeksploatowane przez morderczy tryb życia w całości oddanego naszemu światu i Kościołowi, ale niezwykle jest pewien rodzaj religijnej godności, z jaką kroczy on po świecie.

Sobie, a także odbiorcom naszej rozmowy – Panu również – życzyłbym, żebyśmy się starzeli w sposób podobny do tego, jaki widzimy u Papieża. To znaczy, żeby nasza ufność w to, iż warto kochać i spalać się w tej miłości, była większa niż trwoga naszego przemijania.

K.H.: *Dziękuję za życzenia i za całą rozmowę.*